

Grossglockner 2:1 Relacja z wyprawy

Wstęp

Grossglockner (3798 m n.p.m) to szczyt położony w paśmie górskim Wysokich Taurów. Góra wznosi się na wysokość 3798m n.p.m. co czyni ją najwyższym szczytem Austrii (od I wojny światowej) i tym samym umieszcza wzniesienie na liście Korony Europy. Dosłowne tłumaczenie nazwy oznacza wielki dzwonnik, choć szczyt swoim charakterystycznym kształtem bardziej przypomina piramidę. Składają się na niego dwa wierzchołki: właściwy Grossglockner oraz niższy Kleinglockner (3770m n.p.m. – o 28m niższy od Grosa). Choć położone są bardzo blisko siebie i dziś nikt nie zdobywa tylko niższego wierzchołka, to jednak dzielą różną historię i datę pierwszego zdobycia.

Wyjazd nie był szybką spontaniczną wyprawą na telefon, ale długo planowaną akcją. Dwóch Krzysztofów i Rafałów, Piotrek, Przemek, Grzesiek, trzy Kaśki, dwaj Wiktorzy, Anna – to wszyscy uczestnicy wyjazdu. Na dwie próby ataku, powiodła się druga. Pierwszą akcją zmuszeni byliśmy przerwać ze względu na ...trudno powiedzieć na co, trudne warunki? W zasadzie nie wiedzieliśmy gdzie iść. Niestety taka sama pogoda powtórzyła się następnego dnia. Widoczność spadła do 20m ale mimo to jedna z ekip dotarła na szczyt.

Dzień 1 – 1 czerwca 2011 (środa) – Kals am Grossglockner

Chyba wszystkie alpejskie miasteczka są do siebie podobne. Malownicze, na wpół drewniane domki pięknie przyozdobione kwiatami. Ładne, czyste, posprzątane i udekorowane, szczególnie w sezonie ulice. Jakiś zabytkowy kościółek, skwer z ławeczkami oraz mały market, ale wyposażony lepiej i z większym wyborem niż nie jeden polski moloch. Całość skupiona wokół jednej głównej ulicy miasta z liczbą ludności nie więcej niż parę tysięcy. Takie właśnie jest Kals (*Kals am Großglockner, Österreich*) w Austrii. Właściwie przez Kals tylko przejeżdżamy, zwiedzimy je później. Stromymi serpentynami kierujemy się na północny wschód od Kals do Lucknerhause gdzie zaczynamy swoją wędrówkę. Za przejazd alpejską drogą trzeba zapłacić 9€, ale opłata pobierana jest jedynie w sezonie oraz w weekendy poza sezonem. Początkiem czerwca wszystkie schroniska wyżej w górach są jeszcze zamknięte, turystów jest bardzo mało i dzięki temu jesteśmy zwolnieni z tej opłaty. *Lucknerhaus* to w zasadzie nazwa schroniska położonego na 1920m n.p.m. Bardzo dobrze wyposażony sklepik z pamiątkami, budka telefoniczna, prysznic za 3€ lub zimny za darmo i możliwość całonocnego noclegu (rezerwacja pod telefonem +43 4876 8555). Dla nas jest to przede wszystkim darmowy i bardzo duży parking. Parkują tutaj wszyscy alpiniści chcący zdobyć najwyższy szczyt Austrii.

Szybkie przepakowanie bardzo ciężkiego plecaka i malowniczą doliną *Kodnitztal* ruszamy powoli w górę. W oddali horyzont przystania chwilami zachmurzony masyw Grossglocknera, widoczny z tego miejsca w pełnej okazałości. Polną drogą przejezdną dla samochodu, po 2 godzinach szczególnie się nie spiesząc docieramy do *Lucknerhutte* na wysokości 2241m n.p.m. Schronisko otwierane jest wcześniej niż inne, bo od pierwszego czerwca czyli od dziś. Miejsc noclegowych nie ma dużo bo tylko 45, ale za to mają bardzo dobrze wyposażoną restaurację. Krzysztof z okazji swoich 50-tych urodzin oraz zaręczyn jego córki (również uczestniczki wyprawy), stawia wszystkim piwo.

Po kolejnej godzinie docieramy na miejsce dzisiejszego noclegu – schronisko *Studlhutte* położone na 2803m n.p.m. Sezon turystyczny w Austrii na tej wysokości zaczyna się dopiero od lipca, dlatego budynek jest jeszcze zamknięty. Na szczęście w okresie zimowym otwarty jest mały, 14 osobowy schron obok schroniska, tzw. *winterraum*. Nocleg tam jest płatny 14€ od osoby, choć płatność zależy od naszej dobrej woli, wpisania się do książki gości i wrzucenia opłaty w podpisanej kopercie do skrzynki w kuchni. Zdarzają się kontrole, choć przez czas naszego pobytu nie było takiej. Tak czy inaczej korzystaliśmy jedynie z bezpłatnej ogrzewanej drewnem kuchni w schronie, śpiąc w namiotach. Czasami korzystaliśmy również z toalety, ale ten kto choć raz był w Alpach i widział tamtejsze toalety woli wybierać okoliczne kamienie. Ta w schronie jeszcze nie była zła, chociaż zapach obudziłby każdego nieprzytomnego. Każdy zmuszony z niej skorzystać swoje potrzeby załatwiał tak szybko ile tylko wytrzymał na bezdechu. Mimo to smród nawet tych gryźł w oczy.

Namioty rozkładamy na drewnianym podeście przy schronisku, w sezonie byłoby to niemożliwe, jednak obecnie bardzo mały ruch turystyczny i fakt, że nikt nie mógł nam za to zwrócić uwagi spowodował, że nie rozbijamy się na lodowcu. Wieczór upływa nam na rozmowie i planach na jutro. Prognozy pogody nie rokują najlepiej ale dostaliśmy informację od jakiejś średnio zorientowanej pani ze schroniska na dole, że jeśli wchodzić na szczyt to tylko jutro. Przekładamy więc decyzję ataku z piątku na czwartek.

Całość drogi z dzisiejszego dnia to 4,97km w czasie 3:14min, średnia prędkość 1,5km/h. Suma podejść 878m, suma obniżeń 26m.

Dzień 2 – 2 czerwca 2011 (czwartek) – Atak szczytowy

Punktualnie o 4:10 w chwili, po moim budziku podobne dźwięki usłyszałem z sąsiednich namiotów. Jednak pierwsze osoby dopiero 20 minut później wyszły z namiotów. Przy śniadaniu spotykamy się prawie wszyscy, tylko Piotrek nie ma chęci iść, mówi, że za bardzo zmęczył się wczoraj i musi jeszcze odpocząć. Dziś już przy wyjściu ubieramy uprząże, bierzemy liny do plecaków i sprawdzamy lonże. O godzinie 5:30 wszystkie zespoły są już w drodze, wspinamy się ścieżką po kamieniach i śniegu. Ślady są bardzo zatarte i widać jak

niewielu ludzi chodzi tędy przed sezonem. Po godzinie podejścia, gdy kończą się ostatnie kamienie, ubieramy raki i wchodzimy na śnieżną połać lodowca *Kodnitzkees*, chociaż typowym lodowcem trudno to nazwać. To tutaj, to jednolite, płaskie pole śnieżne i tylko w oddali widać większe lub mniejsze rozstępy śnieżne, tam gdzie teren pod śniegiem gwałtownie opada. Powoli zbliżamy się do skalnej grani *Burgwartscharte* (3104m n.p.m.), im bliżej tym śnieg jest bardziej stromy. W oddali widać już pierwsze liny poręczowe do wspinania się, ale umyślnie je omijamy. Wykorzystując raki podchodzimy stromym śniegiem powyżej skalnej grani, obchodząc ją naokoło i dopiero gdy kończy się śnieg, wchodzimy na grań. Na kamieniach robimy chwilę przerwy. Gdzie teraz iść? Chyba dalej do góry, ale sami nie wiemy. Przy dobrej pogodzie i widoczności znalezienie trasy nie powinno stanowić trudności, ale teraz? Pogoda od samego rana nie wróżyła najlepiej, ciemne chmury zastaniały dużą część nieba a teraz gęsta mgła zupełnie wszystko przykryła. Widoczność mamy na kilkanaście metrów i dobrze nie widać gdzie się wspinać.

Zostawiamy grupę i razem z Rafałem i Grześkiem podchodzimy trochę wyżej zbadać drogę. Grań nie wygląda obiecująco, dość wąska i stroma. Od samego rana, z braku słońca kamienie pokryte są dodatkowo cienkim, bardzo śliskim lodem. Z prawej strony grani stroma przepaść, z lewej nie mniej stromy lodowiec z którego przed chwilą przyszliśmy. Jednak nie dalej niż 15 metrów od miejsca gdzie się zatrzymaliśmy, odkrywamy liny poręczowe, znak, że jednak dobrze idziemy. Wracam po resztę grupy, a tu właśnie trwa głosowanie czy schodzimy na dół. Tak jak przypuszczałem, dziewczyny zobaczywszy grań trochę się obawiają, ale obietnica bliskiego ubezpieczenia drogi dodaje im trochę otuchy. Poręczówkę stanowi gruba stalowa lina w dość dobrym stanie, zaczepiona do skały solidnymi punktami. Powoli przepinając się i podchodząc coraz wyżej po 3,5h od wyruszenia, dochodzimy wreszcie do schroniska *Erzherzog-Johann-Hutte* na wysokości 3454m n.p.m. Do szczytu zostało już tylko 347m. Schronisko podobnie jak *Studlhutte* jest również czynne dopiero od lipca, ale zimową porą udostępniony jest schron. Czytałem, że jest powyżej schroniska ale po wyjściu na grań nic nie znalazłem. Z drugiej strony też brak jakiegokolwiek wejścia, wszystko przykryte białą, zmrożoną warstwą. Dopiero Kaśka po chwili znalazła z tyłu schroniska niepozorne drzwi. Może dlatego nie zwróciły mojej uwagi bo do połowy były przysypane śniegiem. Otwierają się jednak dwuczęściowo i górną częścią, po paru akrobacjach schodzimy na podstawione wewnątrz krzesło i na podłogę w schronie. Schron stanowi kilka pomieszczeń. Jeden przedsionek, główna sala z czterema łózkami na których wyłożone są stare koce i schody do toalety w piwnicy. Chwilę tutaj wykorzystujemy na uzupełnienie zapasów energii i po 20 minutach znowu zakładamy raki przy schronisku.

Początkowo idziemy płaskim skalno-lodowym terenem, śledząc ślady pozostawione przez poprzednie ekipy. Te jednak są tak stare i wymiecione przez wiatr, że giną niemal zupełnie w białym dywanie. Robi się coraz bardziej stromo. Dla bezpieczeństwa wiążemy się liną, dalej będziemy szli z lotną asekuracją. Widoczność jest jednak tak zła, że będąc pierwszy w grupie widzę tylko dwie osoby za mną, dalej lina ginie we mgle. Wołam Rafała, idziemy równolegle dwoma zespołami próbując wyszukać jakieś ślady raków i wbijamy się coraz

wyżej w coraz bardziej stromy śniegowy teren. W końcu śniegowa ściana jest już tak stroma, że trzeba wspinać się na kolanach z wbitym czekanem i rakami. Błądzimy, moim zdaniem odbiliśmy trochę za bardzo na prawo w stosunku do Grossglocknera i w zasadzie nie wiadomo, co to jest to „wielkie, białe” na co się wspinamy. Po krótkiej naradzie, ze względów bezpieczeństwa postanawiamy się wycofać. Góra poczeka! Musi, bo w zasadzie nie wiemy nawet, gdzie teraz jest. Sprawdzam wysokościomierz, wyszliśmy ledwo 100m powyżej schroniska – zawracamy 250m przed szczytem. Schodzimy z powrotem na płaski teren, robimy sobie wspólne zdjęcie i w grupkach wracamy. Rafał jedynie nie może odpuścić i wychodzi jeszcze kawałek wyżej na zwiad. Po chwili przez mgłę woła, że mu się udało i znalazł grań lodowca, okrzyknęliśmy ją granią Tokarra. Niestety cały nasz sprzęt zespołowy poszedł już w innych plecakach niżej, tego dnia nie zdobędziemy już szczytu. Wracamy trochę przybici, bo w zasadzie to tylko widoczność nas zawróciła. Nie było burzy ani nie wiał żaden orkan i gdybyśmy tylko znali drogę, znaleźli jakieś ślady lub chociaż kupili mapę, to dalibyśmy radę. Całkowity dystans, łącznie z kluczeniem po grani: 3,39km w czasie 5:45min, średnia prędkość 0,5km/h. Suma podejść 735m, suma obniżeń 74m.

W obozie dowiadujemy się prognozy pogody od nowo przybyłych Niemców. Mówią, że jutro ma być okienko pogodowe i jeśli zdobywać szczyt to właśnie jutro. Przekonujemy się, nie warto wierzyć ludziom ze schronisk, ale sprawdzonym prognozom pogody. Oryginalnie chcieliśmy właśnie jutro wchodzić na górę. Pada pomysł drugiego ataku, jednak zdania przy kolacji są podzielone. Część chce próbować drugi raz, jak najwcześniej rano, część chce się wyspać i próbować później, a jeszcze inne osoby nie mają chęci i siły na drugą próbę. Upieram się przy jak najwcześniejszym wstawaniu, chciałbym nawet o drugiej rano, ale w grupie to nie będzie możliwe. Ostatecznie dzielimy się. Mój pomysł popiera Rafał, Anka i dwie Kaśki. Jako pierwsza grupa wstaniemy tak jak dziś - o 4:10. Druga grupa się wyśpi i pójdzie za nami.

Dzień 3 – 3 czerwca 2011 (piątek) – Druga próba ataku

Tym razem na budzik o 4:10, czekałem już od 2 rano. Nikogo nie musiałem budzić, wszyscy którzy chcieli wyruszyć o świcie, zaczęli się pakować. Znowu szybkie śniadanie i podobnie jak poprzedniego dnia wyruszamy dopiero 22 minuty po piątej. Jest już całkiem jasno, choć do pierwszych promieni słońca zostało jeszcze parę minut. Wspinamy się szybko i w małym zespole, po czterdziestu minutach mijamy ostatnie skały i wbijamy się prosto w śnieg, tym razem już bez raków. Szkoda czasu na ich zakładanie, śnieg po zimnej nocy jest dobrze zmrożony a ścieżka, po przejściu całej naszej wczorajszej grupy mocno ubita i wyraźna. Wraz z początkiem pierwszych poręczówek wbijamy się prosto na skały, żeby zaoszczędzić chodzenia po stromym śniegu. Okrążamy skalną granią całą połać lodowca *Kodnitzkees* i po 2:40min od wyjścia zatrzymujemy się na chwilę w schronie pod schroniskiem *Erzherzog-Johann-Hutte*.

Niebo jest idealnie czyste, nie ma nawet najmniejszej chmurki. Cała droga jest doskonale widoczna i wychodząc przed EJB widzimy gdzie wczoraj dotarliśmy i co to jest, to wielkie, białe na co się wspinaliśmy. Poza tym, że odbiliśmy za bardzo na prawo to jeślibyśmy doszli wszyscy do grani, ta doprowadziłaby nas w końcu do szczytu. Wychodzimy po 30 minutach przerwy i tym razem, zaraz zakładamy raki i wiążemy się liną. Słońce podnosi się coraz wyżej i wraz z coraz intensywniejszymi promieniami podnosi się coraz więcej chmur. My mamy jeszcze dobrą widoczność, ale ze wschodu coraz szybciej nadciąga biały dywan jasnych obłoków. Wraz z naszą drogą do góry widoczność staje się coraz gorsza, aż znowu jesteśmy w sytuacji jak wczoraj. Tym razem jednak nie odpuścimy, poza kiepską widocznością warunki pogodowe nie są złe, teraz wiemy gdzie iść i jesteśmy przygotowani. Teren stopniowo przechodzi w coraz bardziej stromą połąć i momentami bardziej przypomina to już wspinaczkę w zmrożonym śniegu niż pieszą drogę. Szybko mijamy miejsce gdzie wczoraj zawróciliśmy i po paru minutach wychodzimy na grań *Kleinglocknerkees*. Skalno-lodowa grań następnie rozszerza się i zbliża coraz bardziej do masywu, tym samym stając się coraz bardziej stromą i trudniejszą do pokonania. Grań po kilkunastu metrach lodowo-śniegowej wspinaczki kończy się, zakręca w prawo i przechodzi finalnie w grań niższego szczytu – *Kleinglocknera* (3770m n.p.m.). Stąd zaczyna się ponowne ubezpieczenie drogi i tylko kilkadziesiąt metrów w pionie dzieli nas od pierwszego wierzchołka góry. Miejsce to łatwo rozpoznać. W wystającej skale osadzony jest stały punkt asekuracyjny (batinox) i przykręcona jest tabliczka upamiętniająca kilka ofiar, które zginęły w tym miejscu porwane przez lawinę.

Ubezpieczenie samej grani stanowią stalowe trasery. W praktyce, są to pręty różnej wielkości wbite pionowo w skałę. Część z nich nie za bardzo trzyma się już skały i prosi o wymianę, jednak póki co zapewniają jeszcze wystarczającą asekurację dla całego zespołu. Do asekuracji z użyciem traserów teoretycznie potrzebne są taśmy lub repsnury z karabinkami. W rzeczywistości jednak wiele ekip z braku sprzętu (lub innych powodów), po prostu „okręca” linę wokół stalowego słupka idąc dalej w górę. My pierwszych kilka punktów zabezpieczyliśmy taśmami, a później żeby nie tracić czasu, przeplataliśmy linę przez punkty idąc powoli dalej. Pogoda nie jest najlepsza, widoczność może na 20 metrów, ale i tak na grani musieliśmy czekać aż miną nas w drodze na dół trzy ekipy, z czego jedna komercyjna.

Po pół godziny wolnej wspinaczki, monotonicznie pokonując kolejne punkty, w końcu docieramy do szczytu *Kleinglocknera* (3770m n.p.m. – o 28m niższy od Grosa). Widoczność bardzo mała, do tego wieje 30-40km/h, ale przynajmniej trochę się ociepliło, jest całe 6°C. Z każdym mocniejszym podmuchem wiatru, drobne kryształki lodu wbijają się boleśnie w twarz. Niestety, teraz trzeba zejść kawałek w dół, na przełęcz zwaną *Obere Glocknerscharte* z dużą ekspozycją, na wysokości 3766m n.p.m. i wspiąć się ostatnim skalnym odcinkiem (32m w pionie), na najwyższy szczyt Austrii. Mozolnie pokonujemy ostatnie skały, uważając na mniej doświadczonych dziewczyny z ekipy, aż nareszcie po 15 metrach teren nareszcie przechodzi w mniej stromy. Dla osób sprawnych we wspinaczce odcinek ten jest bardzo prosty i wycenić go można za ledwie na łatwe wspinaczkowe II, jednak osobom mało

wprawionym może zająć sporo czasu. Tym bardziej, że miejscami zalega śnieg a sama wspinaczka odbywa się najczęściej w rakach, rękawiczkach i na sporej wysokości n.p.m. Tutaj już na samych nogach wchodzimy na małą, usianą wystającymi skałami połać śniegu i po chwili przez gęstą, nieustannie przelatującą mgłę widzimy kontur krzyża przytwierdzonego do skał za pomocą wyciągów. Ostatnie kroki i przypinamy się bezpiecznie do stalowej konstrukcji. O 10:53 po 5:31h od wyjścia z dolnego schroniska piątka zdobywców staje na najwyższym szczycie Austrii. Nie jest bardzo zimno, całe 3°C, ale silnie wiejący wiatr sprawia, że odczuwamy dużo mniej i na wszystkim osiada szron. Warstwa chmur nie może być duża, bo jest bardzo jasno jak na takie zachmurzenie. Nie zabawiamy tu długo, wyciągam z plecaka resztę niedopitej wiśniówki z poprzedniego dnia. Wystarcza w sam raz dla każdego po łyku, na rozgrzanie. Robimy sobie wspólne zdjęcie i klarujemy linę do zejścia. Anka i Kaśka pójdą pierwsze, potem ja, druga Kaśka i Rafał na końcu. W momencie gdy opuszczamy szczyt, gęsty dywan na chwilę się rozstępuje i przez parę sekund widać ciemnobłękitne niebo.

Zejście zajmuje nam więcej czasu niż wejście na górę, głównie dlatego, że prędkość całego zespołu wyznacza najwolniejsza osoba. W końcu, po prawie siedmiu godzinach od momentu stanięcia na szczycie wracamy do schronu. Jeszcze podczas zejścia na grani zaskoczyły nas opady śniegu, poniżej EJB był to już śnieg z deszczem a już przed samym schroniskiem *Studlhutte* pada intensywny deszcz. Zupełnie przemoczeni docieramy do namiotów, wyłączam stoper, mamy za sobą 12 godzin akcji. Teraz doceniam zimowy schron i piec z brykietami w środku, będzie gdzie się wysuszyć.

Zakończenie

Grossglockner będzie ogólnie prostą górą dla ludzi doświadczonych. Dla amatorów może być śmiertelnie niebezpieczna, chyba, że idą z przewodnikiem. Wystarczy popatrzeć na statystyki wypadków z samej tylko Polski. Sierpień 2007r. – szczelina śnieżna, dwóch Polaków ginie, trzy osoby ciężko ranne. Szli „prostą” połacią śnieżną powyżej schroniska EJB. Listopad 2010r. – Pogorszenie warunków pogodowych i zgubienie drogi, jeden z Polaków znaleziony tego samego dnia, kolejna dwójka po kilku kolejnych dobach poszukiwań zamrznięta. Ogólnie: „nieprzygotowani do wspinaczki ryzykanci, którzy na własne życzenie pakują się w kłopoty” – tak o Polakach mówią alpejscy ratownicy. Nie pogarszajmy tych statystyk i opinii, zanim wybierzemy się do Austrii dobrze sprawdźmy warunki pogodowe i realnie oceńmy nasze możliwości.

Więcej informacji praktycznych, zdjęcia, mapki, zrzut ścieżki z GPS itd. dostępne na www.elbrusexpedition.wiktor.booo.pl